

ŻYWOT DERWISZA



*Woń jest mową róży,
światło — nieskończoności.
Nocami śmierć
zabiera głos w ciemności.*

Cemil Meriç

Emsalinur położyła emaliowaną szkatułkę na miedzianej tacy i cofnąwszy się dwa kroki, w milczeniu czekała na nagrodę. Od czasu do czasu unosiła wzrok i zerkała na siedzącego przed nią mężczyznę, na którego twarzy malował się wyraz zadowolenia. Och, opłacało się, tyle było strachu, serce o mało nie wyrwało się z piersi, ale się opłacało.

Mężczyzna z uśmiechem patrzył na Emsalinur. Ta kobieta nie odznaczała się olśniewającą urodą, która rzuciłaby na kolana. Ujęła go nie swym wyglądem, lecz charakterem. Oboje już pierwszego dnia zrozumieli, jak bardzo są do siebie podobni. Mężczyzna w jej zachłanności, przebiegłości, w dążeniu choćby po trupach do celu dostrzegł samego siebie. Znalazł w niej swój żeński odpowiednik.

Po chwili wstał i na długą, łabędzią szyję swej niewolnicy założył obiecany naszyjnik. Uwielbiająca błyskotki Emsalinur była tak zafascynowana ozdobą, że nawet nie zauważyła, jak Egipcjanin, İbrahim Efendi, wziął szkatułkę i wyszedł z pokoju.

Krocząc powoli przez dzielnicę Melek Murad Paşa ze swą zdobyczą pod pachą, İbrahim Efendi skręcił w ulicę Kadayıfową. Jak wskazywała nazwa, okolica słynęła z wyrobu *kadayıfu*¹. Z licznych sklepów i cukierni niósł się aromat różnych rodzajów tego słodkiego przysmaku, wyrabianego z chleba, placków *yufka*² albo z ciasta w formie cienkich niteczek, z dodatkiem gęstej, tłustej śmietany *kaymak* lub orzeszków pistacjowych. Stojący grupkami na ulicy mieszkańcy rozmawiali o pożarze, jaki poprzedniej nocy wybuchł w dzielnicy Defterdar Celal. İbrahim Efendi nadstawiał ucha i tylko się uśmiechał. Postanowił, że skoro już się tu znalazł, zje *kadayıf*, a przy okazji posłucha, o czym jeszcze mówią ludzie. Nic się przecież nie stanie, jeśli zabawi tu trochę, nim dostarczy księgę. Już miał wejść do jednego ze sklepów, gdy jego uwagę zwrócił przechodzący nieopodal wędrowny derwisz bez zarostu, z ogoloną głową, cały ubrany na czarno. Dziś İbrahim Efendi miał gest — do żebraczej miseczki ascety wrzucił złotą monetę. Spotkało go jednak rozczarowanie — derwisz nie tylko nie spojrzął z wdzięcznością w stronę swego dobroczyńcy ani nie wypowiedział słowa podzięką, lecz nawet nie uniósł głowy.

Tym ubranym na czarno derwiszem był Pinhan. Zatrzymał się i nieruchomym wzrokiem zaczął wpatrywać się w zawartość miski.

W pierwszych tygodniach po przybyciu do Stambułu wszystko wydawało mu się niezwykle. Zdziwił go ogrom,

¹ *Kadayıf* — rodzaj deseru z ciasta polanego syropem.

² *Yufka* — płaty cieniutko rozwałkowanego ciasta, półprodukt wykorzystywany w wielu potrawach.

przepych tego świata. Czasem nocował w gościnnych dla wędrownych derwiszów progach *tekke*, *zaviye*¹ i *dergâh*², niekiedy posłaniem bywały mu także paleniska łaźni. Najczęściej jednak układał się w jakimś kącie, który wpadł mu w oko podczas wędrówek po mieście, i tam spał. Było lato i wcale nie marzł, spędzając noce pod gołym niebem. Gdy zaczęło robić się chłodniej, częściej odwiedzał siedziby bractw. Ale nie zatrzymywał się w jednym miejscu dłużej niż na jedną noc, nie kładł głowy dwa razy na tej samej poduszce. Tylko w *tekke* Hirpaniego Baby w Üsküdarze³, schronisku dla wędrownych mistyków, zdarzyło mu się spędzić więcej czasu. Żebrać miśeczkę, którą teraz nosił ze sobą, otrzymał od poznanego właśnie tam derwisza z bractwa kalenderytów.

Czterdziestu jeden członków bractwa żyjących w tym *tekke* utrzymywało się z żebractwa; kolejno wychodzili na ulice, by zbierać datki. Zobowiązawszy się do życia w ubóstwie i wyzbycia się wszystkich dóbr doczesnych, zgodnie z zaleceniami starszyny uznawali żebraniegę za sposób na uwolnienie się spod władzy ciała. Ludzie mieli ich po trosze za pomyleńców, po trosze za świętych. Przebywając wśród derwiszów z *tekke* Hirpaniego Baby i tak jak oni przemierzając ulice boso, z odkrytą głową, miską w ręku i dzwonekami przywiązany do pasa, Pinhan bezpośrednio doświadczył dwulicowości mieszkańców miasta. Traktowali oni tych natchnionych żebraków

¹ *Zaviye* — mniejsza od *tekke* siedziba derwiszów, służąca także jako przydrożny zajazd.

² *Dergâh* — większy niż *tekke* kompleks budynków stanowiących siedzibę bractwa.

³ Üsküdar — dzielnica w azjatyckiej części Stambułu.

z pogardą i jednocześnie z szacunkiem, z obawą i zacięciem. Ktoś, kto krzywiąc usta, patrzył na nich z odrazą, po chwili okazywał im najwyższy respekt, a inny, który trzymał się z daleka, jakby obawiał się zarazić jakąś paszkodną chorobą, niespodziewanie podchodził całkiem blisko, by uszczknąć nieco nadprzyrodzonej mocy świętych mężów. Jednakże niezależnie od sposobu, w jaki reagowali, stambulczycy swe odczucia okazywali w sposób w najwyższym stopniu sztuczny i przesadny, dlatego gdy patrzyli, niczego nie widzieli, gdy dotykali, niczego nie czuli. W ich oczach żebrzący derwisze w łachmanach zawsze stali albo dużo niżej od nich, albo znacznie wyżej. Nigdy nie dostrzegali w nich ludzi ulepionych z tej samej gliny, podlegających tym samym żywiołom ziemi, wody, powietrza i ognia.

Opuściwszy *tekke* Hirpaniego Baby i przyjaciół, których tam zyskał, Pinhan zachował żebraczą miseczkę. Teraz zastygł na ulicy Kadayifowej i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w zawartość naczynia — wszystko z powodu pewnego zdarzenia, które zaszło dzień wcześniej, a o którym przypomniła mu otrzymana w datku złota moneta.

Poprzedniego dnia pewna kobieta, bardzo młoda, jak sugerowały jej oczy, padła Pinhanowi do nóg. Szlochając, powiedziała, że jej mała córeczka jest bardzo chora i jeśli derwisz ją uleczy, będzie się za niego modlić, ba, jest gotowa oddać mu wszystko, co posiada. Przywarła do jego kolan i nie pozwoliła mu odejść, a potem, korzystając z chwili słabości, zdołała sprowadzić go do siebie.

Mieszkała w małej, rozwalającej się chatce.

Przekroczywszy próg, Pinhan z początku niczego nie mógł dostrzec. Po chwili, gdy jego oczy przyzwyczaiły się

do panującego wewnątrz mroku, ujrzał przed sobą dziecko zwinięte w kłębek jak kocię. Młoda kobieta podniosła lekko jak piórko drobne ciało, rozprostowała je i rozesała niczym kilim u stóp Pinhana. Chora dziewczynka o czerze w kolorze bursztynu — kilim z oberwanymi frędzlami, mały kotek — zaczęła się więc, skręcać i obracać jak bączek, dziecinna zabawka, a młodemu derwiszowi pociemniało w oczach i zadrżały kolana. I gdy spoglądając w rzucające mu błagalne spojrzenia oczy matki, mówił, że on sam nic nie może zrobić, nie potrafi uleczyć dziecka, lecz nie można tracić nadziei i wiary w Najwyższego, nie panował nad własnym głosem.

Kobieta zaśmiała się. Po prostu się zaśmiała. Ogłuszający, przerażający śmiech i błyski szaleństwa w oczach.

Pinhan uciekł. Zwyczajnie uciekł. Nie oglądając się za siebie, biegł ile sił w nogach, byle zostawić daleko za sobą ów świdrujący w uszach rechot.

Wtedy właśnie poczuł, że żebracza miska w jego ręku stała się ciężka niczym kamień.

Zdarzenie to głęboko nim wstrząsnęło. Stale miał przed oczyma owo ciało wirujące jak bączek, a w uszach dziki śmiech matki. Zaczął się bać, że w każdej chwili na jego drodze może stanąć ktoś, kto będzie błagał go o pomoc i oczekiwał odeń cudów. Nie lękał się bycia niedocenionym, lecz tego, że zostanie przeceniony. A błyszcząca złota moneta, która wpadła do jego miski na ulicy Kadayifowej, obudziła ten strach na nowo. Na dnie naczynia dostrzegł rzucające dzikie spojrzenia oczy młodej matki. Wiedział, co ma zrobić: zostawił miskę z monetą przy ulicznej fontannie.

Opuścił tę okolicę.

Ogarnęła go tak przemożna chęć ujrzenia perły, dotknięcia jej, że bez zastanowienia rozerwał zawieszony na szyi woreczek i wydobył zeń dar Dürriego Baby. Pragnął jedynie się jej wyzalić, poradzić. Pech chciał, że akurat przechodził tamtędy Bekir Antałek z Kayseri¹, gotów na wszystko, by móc wreszcie zapełnić czymś brzuch, w którym od wielu dni kiszki marsza grały — od razu wpadła mu w oko dorodna perła wielkości orzecha. Jednym susem dopadł derwisza i wyrwał mu klejnot z ręki, po czym dał drapaką, nim Pinhan pojął, co się stało. Gdy oprzytomniał, rzucił się w pościg za złodziejem.

Bekir Antałek z Kayseri nie oddalał się od Pinhana, a ten go nie doganiał — obaj w równym tempie przemierzali się ulicami, zmierzając w tym samym kierunku, aż dotarli do pewnej kawiarni.

Nad obrośniętymi dzikim winem drzwiami wisiała filiżanka wielkości niemal ludzkiej głowy, z ozdobnym złoconym brzegiem. Ona właśnie była znakiem rozpoznawczym kawiarni Kunszt, gdzie co dzień demonstrowali swe umiejętności połykacze ognia, kuglarze żonglujący jajkami, obręczami lub butelkami, treserzy małp, zaklinacze węży, akrobaci i mistrzowie teatru cieni.

Gdy Pinhan w pogoni za Bekirem Antałkiem wpadł do środka, występował tam akurat zaklinacz węży. Wzrok młodzieńca napotkał spojrzenie oczu gada, intensywnie zielonych, skrzących się, nieznających lęku. Zapomniawszy, z jakiego powodu się tu znalazł, młody derwisz przysunął sobie jeden z wyplatanych stołków, usiadł i zaczął

¹ Kayseri — miasto w środkowej Anatolii, którego mieszkańcy uchodzą za wyjątkowo sprytnych.

podziwiać widowisko. Dostrzegł cierpienie węża, poczuł jego ból we własnym sercu.

W chwili gdy zaklinacz zakończył pokaz, a jego miejsce zajął *meddah*¹, Pinhan oprzytomniał. Rozejrzał się dookoła, uważnie przyglądając się twarzom ludzi zgromadzonych w kawiarni, ale najwyraźniej Bekir Antałek musiał już się stąd wymknąć. Gdy zrezygnowany Pinhan opuścił kawiarnię, bajarz, ocierając pot z czoła chusteczką, która służyła mu za rekwizyt przy wcielaniu się w różne postacie, kończył właśnie pierwszą opowieść: — Nauka stąd płynie wszystkim znana: tego, kto dobro czyni, dobro spotyka, złoczyńcę zaś zły koniec czeka.

Nazajutrz derwisz znów przyszedł do kawiarni Kunszt, w nadziei, że spotka tu człowieka, który ukradł mu perłę. Nie spotkał. W następnych dniach nogi same prowadziły go w to miejsce. Właściciel przybytku z początku nie mógł zrozumieć, po co ten pozbawiony zarostu młodzieniec przychodzi tu dzień w dzień, wkrótce jednak przyzwyczaił się do jego obecności i zaczął go uważać wręcz za część stałego wyposażenia. Pinhan też przywykł do tego miejsca. Tym, co go tu przyciągało, była nie tylko utracona perła, lecz także ślepiec węża. Nie przepuścił żadnego pokazu, z zapartym tchem oglądał popisy zaklinacza, nie odrywając wzroku od oczu gada. Mówiły mu one o czymś, lecz nie potrafił zrozumieć znaczenia tej opowieści. Szaleńczo pragnął pojąć język węzowych oczu, jednocześnie jednak przerażało go to, co mógłby zrozumieć — dlatego ów brak zrozumienia pozwalał mu na razie cieszyć się spokojem.

¹ *Meddah* — opowiadacz, bajarz opiewający bohaterskie czyny władców i wojowników, łączący sztukę epickiej narracji z elementami tradycyjnego teatru.

Oczy węża...

Intensywnie zielone, skrzące się, nieznające lęku oczy...

Pewnego dnia, gdy po występie zaklinacza zamierzał opuścić lokal, w drzwiach niemal zderzył się z Bekirem Antańkiem. W pierwszej chwili nie rozpoznał go, jego myśli bowiem wciąż zaprzętały wężowe ślepia: tym razem był już naprawdę blisko — dosłownie o włos — od odkrycia ich sekretu. Nagle uniósł głowę, a jego wzrok padł na stojącego przed nim niskiego, korpulentnego mężczyznę — znalazł złodzieja! Z wściekłością rzucił się na niego. Wszystko stało się tak szybko, że nie od razu dotarło do niego, co zrobił. W owej chwili pragnął tylko nie dać mężczyźnie uciec i odzyskać klejnot.

— Oddaj perłę! — wrzasnął.

Otrząsnąwszy się z zaskoczenia, zaatakowany spojrział na niego i wyszczerzył zęby w bezczelnym uśmiechu. Pinhan ani myślał odpuścić; po raz pierwszy w życiu ryczał niczym lew i sam był chyba najbardziej zdziwiony, że tak groźnie brzmiał jego własny głos. Mężczyzna zauważył jego wzburzenie i natychmiast zmienił ton.

— Nie złość się, derwiszu. Skąd miałem wiedzieć, że trafiłem na takiego twardziela jak ty? Nie mam już tej twojej perły. Sprzedałem ją. A bo to cenne rzeczy długo się trzymają takich jak ja? Dzięki niej najadłem się, zabawiłem...

Pinhan zdrzął, znów wezbrała w nim fala gniewu. Bekir Antańek zrozumiał, że to nie przelewki, i jak zawsze, gdy zdarzyło mu się wpaść w tarapaty, zaczął intensywnie myśleć, jak ocalić skórę.

— Poczekaj, poczekaj. Powiedziałem, że sprzedałem, ale nie obcemu. Twoja perła jest u mojego dobrego kumpła. Dziany jest. A przy tym dusigrosz. Kupił, bo tania była.

Skoro to takie ważne, pójdziemy do niego i pogadamy. Jakoś tę perłę odzyskasz. Załatwicie to beze mnie, między sobą. Nic więcej nie mogę zrobić — mówił gorączkowo, a na czole perlił mu się pot.

Te słowa uspokoiły nieco Pinhana, nie miał zresztą innego wyjścia, jak przystać na propozycję Bekira Antałka. Nie spuszczał go przy tym z oka, zdecydowany nie pozwolić mu znowu uciec. Ruszyli razem wzdłuż Bazaru Egipskiego i dalej, pod górę, w stronę Wielkiego Bazaru, zostawiając za sobą kawiarnię Kunszt, która z każdym ich krokiem zmieniała się w niewyraźny majak, zamglone wspomnienie.

Szli opustoszałymi, wąziutkimi uliczkami, bliźniaczo podobnymi, aż znaleźli się przed zrujnowanym budynkiem. Bekir Antałek zagwizdał, imitując głos ptaka. Świsł rozpląnął się w mroku, a w domu, przed którym stali, nie dało się dostrzec najmniejszego ruchu. Nagle jednak drzwi otworzyły się powoli i wyjrzała z nich głowa o bujnej czuprynie.

Tak oto Pinhan przekroczył próg tej nędznej rudery zwanej hanem¹ Cafera Karła.

Chłopak, który otworzył drzwi, bez słowa poszedł przodem, wskazując im drogę. Niewątpliwie był jeszcze młody, lecz worki pod oczyma, przygarbione plecy i posępna mina sprawiały, że wydawał się znacznie starszy. Rad, że zbliża się do swej perły, Pinhan zostawił za sobą Bekira Antałka i ochoczo ruszył za przewodnikiem.

Na podłodze rozłożone były materace, a na nich leżeli odurzeni ludzie. Rozrzucone tu i tam porozpruwane

¹ Han — budynek mieszczący różnego rodzaju biura, sklepy i warsztaty.

poduszki do siedzenia nie służyły niczemu, pogłębiały tylko wrażenie bałaganu. Pośrodku pomieszczenia stał piecyk *mangal* o brzegach powyginanych od opierania na nich stóp, a na nim parzyła się w imbryku zielona herbata z cynamonem i goździkami. Nie było słycać żadnych rozmów, ba, nikt się nawet nie ruszał. Jakby wszystko i wszyscy zastygli. Nawet unoszący się w całym pomieszczeniu dym wydawał się wisieć w powietrzu nieporuszenie. Pinhan miał ochotę jak najszybciej stąd uciec, szedł jednak dalej. Przeszli do następnej izby.

Była równie mroczna, duszna i ponura jak pierwsze pomieszczenie. Ale tu na wszystkich czterech ścianach, nisko nad podłogą, wisiały rzędy półek, na których ustawiono jedno obok drugich wypchane ptaki. Całe szeregi martwych ptaków. Żurawie, bażanty, kuropatwy, dzikie gęsi, kaczki, łyski, przepiórki, różeńce, jastrzębie gołębiarze, bąki, krogulce, kobuzy, rarogi, sokoły wędrownie i myszołowy wytrzeszczały szklane oczy, jakby chciały pokazać, że straciły życie w przerażających okolicznościach. Pinhan przeraził się, że może ujrzeć wśród nich czarodziejskiego ptaka, którego napotkał w ogrodzie *tekke* Dürriego Baby. Nie zniósłby widoku jego wypchanego ciała z czarno-żółtymi piórkami w niebieskie paski i planki w kolorze wina, stojącego sztywno na zakurzonej półce w tym spowitym ciszą pomieszczeniu. Na szczęście jego obawy były płonne. Ów osobliwy ptak najwidoczniej uniknął losu swych pobratymców i nie trafił w to dziwne miejsce.

Pinhan tak się zamyślił, że nie zauważył, iż za jego plecami ktoś stoi, i gdy ten przemówił, aż podskoczył ze strachu.

— Ptaki są nader płochliwe. Boją się wszystkiego... — powiedział człowieczek sięgający Pinhanowi do kolan. Podszedł do półek, które wisiały na wysokości jego ramion, i pieśczołtliwie głaszcząc martwą kuropatwę, dokończył: — Lecz dzięki mnie już nigdy nie zaznąją strachu.

Derwisz obrzucił karła uważnym spojrzeniem. Niziu-sieńki, ze swoimi małymi rączkami i drobnymi stópkami przypominał małe, niesforne dziecko. Lecz zmrużone oczy o zaczerwienionych powiekach zdradzały jego prawdziwy wiek. Spojrzawszy w nie, Pinhan zrozumiał, że odzyskanie perły z rąk tego człowieka wcale nie będzie łatwe. Rozejrzał się, lecz nigdzie nie dostrzegł Bekira Antałka — złodziej musiał się już dawno ulotnić. Zresztą tak jak zapowiedział w kawiarni Kunszt: zaprowadzi go do swego kompana, a do reszty się nie miesza. Pojąwszy, że został sam, Pinhan nie odezwał się słowem do Cafera Karła, patrzył nań tylko złowrogo. Lecz jego oczy, od urodzenia jakby obwiedzione węglem, potrafiły rzucać spojrzenia, które mówiły więcej niż długie, pompatyczne zdania.

Cafer Karzeł poczuł się nieswojo w obecności wpatrującego się weń wrogo milczącego derwisza. Od pierwszej chwili wiedział, że skrywa on jakiś sekret, i aż go skręcało z ciekawości. Z jednej strony miał ogromną ochotę odkryć tę tajemnicę i rzucając mu ją w twarz, upokorzyć go, z drugiej zaś w gładkim, pozbawionym zarostu obliczu młodego człowieka, w jego oczach jakby obwiedzionych węglem dostrzegał dawno zapomniany spokój i nie miał serca nie tylko zranić przybysza, ale nawet w najłżejszy sposób go urazić. Zasypywał gościa gradem pytań, próbując zajrzeć do jego serca, lecz ku swemu rozczarowaniu od Pinhana, który myślał tylko o tym, by odzyskać perłę i jak

najszybciej opuścić to miejsce, uzyskiwał jedynie krótkie, zdawkowe odpowiedzi. Karzeł domyślił się jego zamiarów, wyczuł, że derwisz nie darzy sympatią ani tego domu, ani jego gospodarza. Lecz nie zamierzał pozwolić szybko odejść nieoczekiwanemu gościowi. Lubił bowiem pograć sobie z nowo poznanymi osobami, które uznał za interesujące, w grę zwaną przez siebie „rośnij — malej”. Za pomocą sprytnych zabiegów, starannie dobierając słowa, nakłaniał przybyszów do opowiedzenia mu swych historii, kradł ich przeszłość, sekrety, wyciskał z nich wszystko, a to, co zostało, nędzne wytloki, wyrzucał. Gdy gra dobiegała końca, ci, którzy obdarzeni byli wysokim wzrostem, kurczyli się, aż ledwo odrastali od ziemi, niscy zaś rośli na zdobytej wiedzy jak na drożdżach. Miał przemożną chęć zagrać w tę właśnie grę z derwiszem. Dlatego ilekroć rozmowa już zaczynała krążyć wokół tematu perły, robił sprytny unik i zaczynał mówić o czymś innym. W końcu spostrzegł, że nic to nie daje, że Pinhan ani myśli zapomnieć o perle, postanowił więc zaprosić gościa na poczęstunek.

Młodzian z lekkim zezikiem i sporym znamieniem na lewym policzku przyniósł na srebrnej tacy *macun*, uformowany w kulki wielkości winogrona. Podobnie jak odźwierny, także i ten chłopak wydawał się przedwcześnie postarzały. Zgiąwszy się wpół, podał obu mężczyznom specyfik przyrządzony z haszyszu, masła, miodu, kokosa i rozmaitych przypraw. Gdy Pinhan włożył do ust porcję macunu, poczuł dziwny, niedający się określić smak, ni to kwaśny, ni słodki, ni gorzki — jakby łączący wszystkie naraz. Pozwolił mu rozplynać się na języku i pogrążył się w narkotycznym odurzeniu. I wtedy właśnie poczuł dochodzący się z sąsiedniego pokoju aromat parzonej kawy.

Ten zapach przypomniał mu Hasana Dzieweczkę. Poczł łaskotanie w nosie, jakby zaraz miał się rozpłakać. Zrobiło mu się jakoś dziwnie. Co robi tu, w tej ruderze, z tym typem spod ciemnej gwiazdy, zamiast przebywać teraz w *tekke* Dürriego Baby?

Cafer czekał cierpliwie, aż *macun* zacznie działać. Uśmiech, jaki rozpromienił twarz Pinhana, był znakiem, że nadszedł właściwy moment — karzeł zaczął od opowiadania o sobie. Doszedł bowiem do wniosku, że kogoś tak nieskorego do wynurzeń nie skłoni do mówienia inaczej, niż opowiadając mu własną historię. Derwiz był niczym wymykający się wąż — jedynie słodkimi słowami i wzruszającymi historiami można było wywabić go z ukrycia i wciągnąć w grę.

— Bekir Antałek ma długi jęzor i lubi nim obracać, Bóg jeden wie, co o mnie nawygadywał. Nie znosi mnie, bo cieszę się poważaniem, a i majątek mam, nie powiem. Ale nikt nie wie, jak trudno mi to przyszło, ile się nagłodowałem, zanim to wszystko osiągnąłem. Mój nędzny los się odmienił, gdy trafiłem do pałacu pewnego paszy zwanego Tłustym Halilem. Jeśli zapytasz, czym się tam zajmowałem, odpowiem: błazeństwem, żartami. Szybko pojąłem, że jeśli będę ich rozśmieszał, polubią mnie, a jeśli będą mnie lubić, skończą się czasy pustego brzucha i gołego grzbietu. Udało się, polubili uciesznego karła, i to nawet bardzo. Dobrze mi było. Czasami, zwłaszcza w długie zimowe wieczory, siadałem przed nimi i opowiadałem rozmaite historie. Stale się śmiali. Cokolwiek opowiadałem, słuchali tylko po to, by się śmiać, i zaśmiewali się do rozpuku. Miałem ochotę wszystkich ich za to udusić. Z jednym wyjątkiem. Ten ktoś był inny niż reszta.

Pasza miał córkę. O jej urodzie krążyły legendy. Miała na imię Nakş-ı Nigâr. Upodobała mnie sobie, chciała, bym jej zawsze towarzyszył. Kazała specjalnie dla mnie szyć ubrania z najszlachetniejszych tkanin i własnymi rękami mnie w nie odziewała. Aby wygodniej mi było opowiadać, zamówiła u stolarza stołeczek z drzewa różanego. Na nim kładła poduszeczkę wypełnioną ptasim puchem, mięciusieńką. Siadałem na stołeczku i opowiadałem. Bardzo mnie lubiła. Lubiała, ale tak jak się lubi zabawkę. Ja zaś lubiłem ją zupełnie inaczej. Śniła mi się po nocach. Wstydzilem się, pocilem. Krótko mówiąc: zakochałem się w córce paszy. Gdyby zażądała mego serca, sam wyjąłbym je sobie z piersi i jej oddał.

W tym momencie karzeł zamilkł na chwilę, by włożyć do ust porcję macunu. Zerknął przy tym kątem oka na Pinhana. Udało się. Uparty derwisz wreszcie przestał mówić w kółko o perle i słuchał opowieści.

— Pasza był prostakiem, niedobrym człowiekiem. Karcił mnie suszonymi figami nafaszerowanymi opium; tak wpadłem w ten nałóg. Wpychał mi je do ust, a gdy zaczynałem słać się na nogach, rechotał z uciechy. Któregoś razu przebrał miarę. „Jedz, chłopcze, jedz”, wołał, zmuszając mnie do jedzenia. Straciłem przytomność, a gdy otworzyłem oczy, ujrzałem nad sobą Nakş-ı Nigâr. Czuwała przy mnie, modliła się, bym wyzdrowiał. Jakże się cieszyłem. Nawet nie byłem zły na paszę. Lecz niestety, uzależniłem się już od tego paskudztwa. I tak minęły lata. Nakş-ı Nigâr wyrosła, jej uroda rozkwitła i jaśniała teraz pełnym blaskiem, ja zaś pozostałem tak samo niski jak dawniej. Moje cierpienie wcale nie zmalało. Wręcz przeciwnie, jeszcze się wzmogło. Lecz pewno dalej wiódłbym takie życie, gdyby

nie stało się to, co się stało. Pewnej wiosny moja księżniczka zachorowała. Nie wstawała z łóżka, a lekarze nie potrafili przywrócić jej zdrowia. Nikła na moich oczach. Jej różowa twarzyczka pożółkła i zmarniała. W pałacu zapadła grobowa cisza, wszyscy pogrążyli się w smutku i rozpacz. Bóg mi świadkiem, że ja przeżywałem to najmocniej. Ta piękna istota, tak mi bliska i tak dla mnie nieosiągalna, odchodziła! Zrobiłbym wszystko, byle tylko wyzdrowiała. Wszystko. Lekarze przepisywali najrozmaitsze medykamenty, wydawali mnóstwo zaleceń, ale nie znaleźli skutecznego leku na jej chorobę. Co jeszcze moglibyśmy zrobić? Wtedy właśnie ochmistrzyni Nazikter poleciła małżonce paszy, Peyveste Hanym, pewną kobietę znającą podobno sposoby na złe oko. Ach, bodajby nigdy nie wspomniała o tej czarownicy! Tak czy siak pasza nie lubił żadnych czarów, nie wierzył w uroki i tym podobne. Był zdania, że nic nie dorównuje nauce, a zwłaszcza naukom przyrodniczym, i wszystko da się racjonalnie wyjaśnić; jego życzeniem było też, by wszyscy w pałacu podzielali ten pogląd. Ale mniejsza z tym. Krótko mówiąc, pani i ochmistrzyni postanowiły działać razem i cichcem, by nie wzbudzić podejrzeń paszy, wywiedziały się wszystkiego o owej kobiecie. Zwano ją Pstrą Asiye, a mieszkała w dzielnicy Akrep Arif. Powszechnie zresztą było wiadomo, że staruchy w tej okolicy parają się czarami i znają rozmaite duchy. Natychmiast posłano po ową Pstrą Asiye, lecz ta nie posłuchała wezwania. Nie przyszła. Oświadczyła, że nigdzie się nie ruszy. Peyveste Hanym i ochmistrzyni Nazikter nie pozostało nic innego, jak udać się do tego sąsiedztwa, położonego na obrzeżach miasta. Zamierzały ubłagać starą za pomocą cennych upominków i miłych słów. Lecz ta nieczysta, podła do szpiku

kości baba ani myślała ustąpić. Upominki odrzuciła, słodkie namowy puszczała mimo uszu. Ot, giaurzy pomiot... Mówili o niej, że to żydowska szachrajka, i zaprawdę, tak musiało być. Pstra Asiye zawsze gotowa była się targować do upadłego, miała smykałkę do handlu. Zażądała, by przywieziono do niej chorą. Parszywe babsko. Patrz, na jakie trudności nas naraziła! Ale co było robić, z Nakş-ı Nigâr zostały ino skóra i kości... Rade nierade, pani i ochmistrzyni różnymi sztuczkami przekonały paszę. Rozwiały dręczące go wątpliwości, twierdząc, że jego jedyna córka poczuje się lepiej, pokona śmiertelną chorobę, gdy zażyje świeżego powietrza, dlatego należy ją wywieźć poza Stambuł. W końcu pasza zgodził się na wszystko. Ochmistrzyni Nazikter oraz ja mieliśmy w tej podróży towarzyszyć Nakş-ı Nigâr. I tak przybyliśmy do dzielnicy Akrep Arif, do domu tej wiedźmy.

Pinhan z wielkim zaciekawieniem słuchał opowieści karła, chłonał wręcz jego słowa. I nie odmawiał kolejnych porcji macunu, podawanych na srebrnej tacy.

— Ta wstrętna, podła do szpiku kości baba przyjęła nas życzliwie. Pokoje już na nas czekały. Nakş-ı Nigâr wniesiono na najwyższe piętro. Pod żadnym pozorem nie wolno było nam do niej zaglądać. Zaczęły się dla mnie dni nie kończącej się udręki. Byłem bliski szaleństwa. Życie mojej ukochanej księżniczki spoczywało w rękach jakiejś baby, czort wie kogo. Przebywaliśmy pod jednym dachem, a ja nie mogłem nawet zobaczyć jej twarzy, delikatnej jak pączek róży, nie wiedziałem, co się z nią dzieje. Cóż mieliśmy począć, ja i ochmistrzyni Nazikter musieliśmy podporządkować się poleceniom gospodyni. Dwa dni po naszym przybyciu w domu Pstrej Asiye zjawiło się sześc

staruch z dzielnicy Akrep Arif. Wszystkie razem weszły na górę i zamknęły za sobą drzwi, a ja i ochmistrzynie zostaliśmy na dole, z niepokoju nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Ochmistrzynie miała większe powody do obaw. Zastanawiała się, co ją spotka ze strony paszy, jeśli Nakş-ı Nigâr nie wyjdzie z tego domu żywa. Zgrzeszyłbym, gdybym powiedział, że nie kochała młodej pani. Kochała ją, i to bardzo. Ale nikt nie darzył jej tak wielką miłością jak ja. Oprócz niej nic się dla mnie nie liczyło, nie obchodził mnie gniew paszy, nie dbałem, że stracę pozycję w pałacu. Byłem gotów oddać za nią życie; niech ja umrę, byleby tylko moja księżniczka żyła! Przez wszystkie dni i noce w dzielnicy Akrep Arif ani razu nie zmrużyłem oka, tylko chodziłem i chodziłem tam i z powrotem. Z góry zaczęły zalaływać dziwne zapachy. Intensywne, osobliwe. Nie nazwałbym ich ładnymi, ale nie wydawały się również niemiłe. Strasznie byłem ciekaw, co też tam wyczyniają te staruchy. W końcu pewnego dnia nie wytrzymałem. Zakradłem się na górę. Tu dziwne wonie były znacznie silniejsze, ledwo mogłem oddychać. Zjrzałem przez dziurkę od klucza, ale nic nie zobaczyłem. Przytknąłem ucho do drzwi, ale nie usłyszałem, o czym mówią. Serce waliło mi jak młotem. Przestraszyłem się, że usłyszą jego bicie. W końcu zszedłem na dół. Zostaliśmy tam sami, ochmistrzynie Nazikter i ja. Tylko czasem pojawiał się pewien chłopak dostarczający zioła. Zwali go Piękny Ömer. Ach, wszystko przez tego drania bez serca!

Cafer Karzeł wpadł we własne sidła, dał się ponieść opowieści i zaczął ją snuć dla samego siebie. To właśnie było najniebezpieczniejsze w całej tej zabawie: nie wolno było zapomnieć, że to tylko gra...

— Nie wiem, co mam ci powiedzieć... Nie znajduję słów, by opisać me cierpienia. Przez siedem dni i siedem nocy czekaliśmy tak w dzielnicy Akrep Arif. Przez ten czas staruchy ani na chwilę nie zeszły na dół, drzwi pozostały zamknięte, a dziwne zapachy wciąż unosiły się w powietrzu. Ochmistrzydni Nazikter wydawała się pogodzona z losem. Zaczęła nawet krzątać się po kuchni Pstrej Asiye i gotować posiłki. Nie winię jej za to. Wszak całe życie pracowała, tak ją nauczono. Bezczytność była dla niej tysiąc razy gorsza niż śmierć.

Rankiem, gdy siódma noc dobiegła kresu, drzwi się otworzyły. Jedna po drugiej staruchy zeszły na dół. Przeklęte wiedźmy nie odezwały się słowem, zabrały się i poszły. Została tylko Pstra Asiye. Zaklinałem ją na wszystko, by szepnęła choć słowo, ale wstrętne babsko uparcie milczało. Nawet na mnie nie spojrzała. Nagle usłyszałem skrzypienie podłogi. Podniosłem głowę i cóż widzę? Moja bledziutka księżniczka schodzi po schodach! Doszła do siebie, nabrała sił, jej policzki lekko się zaróżowiły. Jakże się ucieszyłem! Miałem ochotę skakać z radości. Z emocji nogi odmawiały mi posłuszeństwa, mowę mi odebrało. Podbiegłem i chwyciłem ją za ręce. Lecz ona tylko spojrzała na mnie dziwnie. Sprawiała wrażenie pogrążonej w jakimś śnie, jakby ją ktoś zaczarował. Przeraziłem się. Nie tyle rzuconego czaru, ile tego, że mogła mnie zapomnieć, wymazać z pamięci. Moja księżniczka zeszła po schodach niczym duch, rozglądając się powoli nieruchomymi oczyma. Potem powiedziała: „Zimno mi”. Słowa zabrzmiały dziwnie, jakby dobywały się z głębin, to nie był jej głos. Bóg mi świadkiem, nie był. Głos należący do mojej księżniczki rozpoznałbym przecież od razu. Ale nic to, najważniejsze, że wstała z łóżka. Było

mi przykro, że nie objęła mnie i nie przytuliła, nie powiedziała: „Porzuć obawy, zobacz, wyzdrowiałam!”. Tyle razy wyobrażałem sobie ten moment... Nagle ktoś zastukał do drzwi. To był Piękny Ömer. I wtedy to się stało. Moja pani podniosła głowę i spostrzegła młodzieńca. Piękny Ömer zajrzał przez drzwi i spostrzegł moją panią. Patrzyli na siebie tak, że miałem ochotę podbiec i im przeszkodzić, przerwać to, chwycić moją księżniczkę za rękę i zaprowadzić ją do domu. Chciałem ją zabrać z tej przeklętej dzielnicy, ale nie mogłem zrobić kroku. W zgaszonych, martwych oczach dziewczyny rozgorzały niezwykle ognie. Tak się to zaczęło. Moja księżniczka zakochała się w Pięknym Ömerze. Ochmistrzyni Nazikter i ja w jednej chwili oprzytomnieliśmy. Zabraliśmy dziewczynę i wróciliśmy do domu. Pasza i jego żona nie posiadali się z radości, widząc córkę zdrową. Lecz ja wiedziałem, że w sercu Nakş-ı Nigâr płonie ogień. Ten żar parzył przede wszystkim mnie. Czy wiesz, Pinhanie, jak to jest? Jak to jest, gdy ktoś, kogo kochasz, na twoich oczach zakochuje się w innym, a ty nic nie możesz na to poradzić?... Czy wiesz, jaki to ból?

Pinhan nie odpowiedział. Pochylił w zawstydzeniu głowę, jakby zrobił coś niestosownego. Nie, nie wiedział, jakie to cierpienie.

— Moja księżniczka zakochała się nieszczęśliwie. Wszak mężczyźni z Akrep Arif żenili się tylko ze swoimi, nie brali sobie obcych dziewcząt za żony. Dziwny jest ten świat. Oto Nakş-ı Nigâr, córka wielkiego paszy, piękność nad pięknosciami, pożądała zwykłego chłopaka z tej zaszalonej okolicy, a on jej odmówił. Nawet pasza był skłonny zgodzić się na to małżeństwo, byle jego jedyna córka była szczęśliwa. Ale nic z tego. Ta przeklęta dzielnica się

sprzeciwiła. Pewnego ranka Nakş-ı Nigâr wezwała nas wszystkich do siebie i każdego z osobna poprosiła o wybaczenie. Złożyła pocałunek na moim policzku. Wargi miała zimne jak lód... Zrozumiałem, że moja księżniczka odchodzi. Wydając ostatnie tchnienie, kazała wnieść w owej dzielnicy *hamam*, łaźnię godną jej imienia. I umarła. Opuściłem pałac paszy. Jakże mógłbym tam zostać? Postanowiłem, że odtąd koniec z żartami i błazeństwem, nikomu już nie będę służył. Z czasem zacząłem cieszyć się poważaniem, dorobiłem się majątku. Jakież to jednak ma znaczenie, skoro mojej księżniczki już nie ma? Mówią, że jestem dusigroszem, ale to nie ze skąpstwa. Moja księżniczka...

Nim zdążył dokończyć, Pinhan wstał niespodziewanie. Nogi się pod nim ugiwały, kręciło mu się w głowie. Zrobił krok, dwa i runął jak długi na ziemię.

— Per-ła! — zdołał zawołać, nim zapadł w narkotyczny sen. Cafer Karzeł pojął wtedy, że nie udało mu się wywabić węża z jego nory, nawet najśłodsze słowa i najboleśniesz opowieść na nic się zdały. Myśl o tym jeszcze bardziej go podnieciła. Okrywając leżącego bez czucia derwisza, przyjrzał się jego gładkiej, pozbawionej zarostu twarzy. Nie mógł oderwać wzroku od jej budzącego lęk piękna, od ukrytej w nim, wciąż nienaruszonej tajemnicy.

Zadrzał.

Potem wyjął z pazuchy perłę i umieścił ją w oczodole wypchanego jastrzębia. Wydawało się, że martwy ptak ożył. Spojrzeli na siebie w milczeniu.